

SAMO-LOTY

Marek Stokowski

Powieść „Samo-loty” Marka Stokowskiego to nostalgiczna opowieść o dorastaniu w PRL-owskiej Polsce lat siedemdziesiątych. To historia o tym, jak dziecięce marzenia pozwalają bohaterom na chwilę uciec od szarej, pełnej przemocy rzeczywistości i odnaleźć swój wewnętrzny głos. W gruncie rzeczy to powieść o sile wyobraźni, przyjaźni i pragnieniu wolności, które to pragnienie wznosi się ponad ograniczenia tamtej epoki.

FRAGMENTY POWIEŚCI

Obudziłem się o ósmej rano. Patrzyłem przez okno. Myślałem.

Co mi tu nie pasowało. Nie szedłem do szkoły, to jasne. Nie będzie Haliny Sokolec, Tlenionej i gitów, ani towarzysza Aleksandra Kolca z Komitetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Tak to zwykle bywa w czas wakacji, w dodatku w niedzielę, że nie idzie się do budy. Na Okciu też bym nie szedł. Cóż zatem dziwnego było w tym poranku, tutaj? Co było innego w tej chwili, na Wschodnim Wybrzeżu, w pokoju z zegarem? Myślałem z pięć minut, a wreszcie odkryłem: Ja – kompletnie – się – nie – bałem. Do tej pory miałem zawsze kamień w brzuchu, nawet latem, nawet w wakacje. A tu, w ten sierpniowy dzień, po ósmej, jakimś niewyobrażalnym cudem nie czułem się zmęczonym, nie czułem się durnym, przeklętym, straconym, od początku podejrzany, ordynus, hołota, i nie czułem się jak oślepiony kundel Białej Damy, ani czarny robak w cudzej kiszce, ani przerażony szczur w piwnicy pełnej ognia. Tak, nie bałem się, zupełnie, chociaż dobrze to wiedziałem, że dzień czeka mnie z pewnością trudny, jedna wielka niewiadoma. Ale to było nowe dziecko, cudowna szansa, a nie jeszcze jeden koniec świata. Dziękowałem niebu i prosiłem, żeby to się nie rozwiało nagle. Bo że, jakie to jest fantastyczne – nie bałem się własnego życia. A więc chyba wreszcie byłem w tej cholernej Ameryce! W końcu tam wylądowałem.

[...]

Nie chcę wam tu dużo opowiadać o pobycie w sanatorium-prewentorium, nie chcę, koniec. Powiem w skrócie: Było tak, jak przypuszczałem, jeden koszmar. Sale prawie takie duże jak w szpitalu. Łóżka straszne, przypalona zupa mleczna z ryżem i mielone ze ściągami, kopytami i kłakami. Do tego wymyślne tortury w basenach, w lodowatych, obdrapanych gabinetach, a najgorsze ze wszystkiego – wspólne życie z grupkami bandytami.

Od początku mnie nienawidzili. Nie wiem tak naprawdę za co. A specjalnie nienawidziłem mnie git-czowiek, który rzucił wszystkim i wszystkim w naszej sali. Pędzikowski, ksywka Krótki. Czuję, że zafundowałem sobie kiepskie wejście, bo od razu na dzień dobry powiedziałem, że nie jestem wcale chory tak jak oni, już na pewno nie na głowę, że wrócę wkrótce z Ameryki i latałem własnym samolotem. Nie trafiłem chyba w gust, bo zaczęli wyśmiać się z opętani. Wyli pewnie z dziesięć minut, potem kilku z nich kaszlało niczym owce (jak to określała moja Babcia). I od tamtej pory miałem całkowicie, proszę państwa, przerbane (Babcia tego tak nie określała). Owszem, wokół były góry, lasy, zdrowy klimat i te rzeczy, jednak moje życie stało

si? koszmarem.

Wci?? wo?ali za mn?: „Ty! Szajbni?ty!”, „Ej, ty z g?ow?!” albo cytowali co? z poezji: „E! Tworci w remoncie, a wariat na froncie”. A to jeszcze nic, bywa?o gorzej. Na przyk?ad gdy spa?em, lali mi do ucha zimn? wod? czy te? przypalali zapalniczki? stopy, tak ?e – poprzez pewien automatyzm – kr?ci?em nogami w powietrzu jak kolarz. Nazywano t? zabaw? nocny rower. A znowu w sto?ówce jad?em zawsze sam, w pobli?u gara ze zlewkami, odseparowany od normalnych ludzi z mózgiem, i bez przerwy by?em celem bombardowa? ziemniakami, pociskami z margaryny lub twarogu. Czu?em si? tym wszystkim tak zgn?biony, ot?pia?y, ?e nie odpowiada?em moim prze?ladowcom ogniem. Poddawa?em si? przemocy, ale w ?rodku ros?a we mnie czarna burza. Prosz? przyzna? – to nie by?a idealna sytuacja do leczenia chorej g?owy, gdyby rzeczywi?cie by?a chora. Zrozumia?em, jak si? musi czu? ten biedny Czesio Gawlik, obiekt nieustannych, krwawych szykan w naszej klasie. Zrozumia?em i zacz??o mnie na domiar z?ego gry?? sumienie.

W sanatorium-prewentorium migota?o tylko jedno ciep?e ?wiat?o. Siostra Klara. By?a ju? co prawda strasznie stara, mia?a ze trzydzie?ci lat, a mo?e wi?cej, ale okaza?a si? naprawd? fajna, ca?kiem inna ni? bandyci z mojej sali i personel – oboj?tny, ostry, zimny jak kraw?dzie metalowych sprz?tów.

Jak tak na ni? si? spojrze?o – nie za pi?kna. Po pryszczycy czy po ospie pozosta?y na jej twarzy spore dzioby, a w dodatku by?a troch? nazbyt pulchna. Za to mia?a ?adne nogi, zw?aszcza w bieli piel?gniarskich, cienkich po?czoch. Zatyka?o mnie po prostu jak gru?lika-astmatyka, kiedy – odwrócona do mnie ty?em – pochyla?a si? nad le?akuj?cym obok chorym. Naturalnie zostawa?em w my?lach wierny Go?ce, ale nogi o tym kszta?cie te? nie by?y mi zupe?nie oboj?tne.

Pierwszy raz spotka?em siostr? Klar? przy badaniu, wkrótce po tym, jak mnie Mama zostawi?a w sanatorium-prewentorium. Kiedy wyszed? z gabinetu lekarz – doktor Chomicz, stary wa?ko?, który mia? nas wszystkich, wiecie gdzie, g??boko z ty?u – siostra Klara pog?aska?a mnie po w?osach i szepn??a:

– Tak mi ciebie troch? ?al, ch?opaku. My nie kurujemy tu na g?ow?... Kto ci? do nas tu w ogóle przys?a?? My mo?emy zrobi? tylko k?piel, jaki? inny prosty zabieg, ale nie wiem, czy na g?ow? to pomaga...

Wygl?da?em chyba do?? ?a?o?nie, bo doda?a:

– Mo?e klimat? No tak, b?d?my dobrej my?li, ?e podleczy ci? powietrze górskich lasów.

Mówi?a zupe?nie inaczej ni? doktor, inaczej ni? wszyscy, którzy w tym nieszcz?snym sanatorium wci?? szczekali. Pó?niej te? si? odzywa?a bardzo mi?o. I ja do niej. A bandyci z mojej sali zabawiali si? codziennie gadaniami-marzeniami, co z ni? robi? na poddaszu. Ta ho?ota z piek?a rodem bra?a j? na swe j?zory jak na rogi. Rozumiecie. Trwa?a wielka licytacja nowych zmy?le?, rozwa?ano ka?dy szczegó?. P?dzikowski gra? jak zwykle pierwsze skrzypce i najbardziej chamskie s?owa wychodzi?y w?a?nie z jego g?by. I kto wie, czy w innej sytuacji nie przy??czy?bym si? ch?tnie do fantastów, do ich roje? i zaczepki po adresie siostry Klary, lecz ofiary naszych prze?ladowców staj? si? naszymi przyjació?mi (czy mam racj??), wi?c milcza?em, gdy wo?ali:

– Siostra lubi je?dzi? na koniku?

Albo:

– Siostro, siostra robi doktorowi Chomiczowi masa?? My te? chcemy!

I od razu wybuchaj? kwiki, r?enia, a tymczasem siostra Klara nawet si? nie odwraca?a do tych drani, tylko przechodzi?a po?ród chamstwa z jakim? takim nieobecnym wzrokiem, tak jak nimfa lub królowa. Pomy?la?em, ?e milczenie to za ma?o, wi?c po paru dniach zacz??em stawia? – niczym rycerz – obok podduszanej wyziewami skunksów siostry Klary. Bra?em od niej co?, co w?a?nie nios?a, albo otwiera?em

przed ni? drzwi czy zamyka?em, jakbym chcia? powiedzie? jej i tamtym typom: „Jestem z tob?, bia?a pani.” I w ten sposób mia?em u ch?opaków przer?bane do kwadratu. Za to siostra Klara raz i drugi da?a mi w sekrecie ciastko z d?emem. Po?era?em je w ukryciu, pod schodami. Z czasem pozwoli?a, bym pomaga? jej w sk?adaniu czystych poszew. Ona te? – tak czu?em – te? nie wydawa?a si? szcz??liwa. Co? w niej tkwi?o, co? si? kry?o, jaka? smutna tajemnica siostry Klary.

A? pewnego dnia skin??a r?k? i poprowadzi?a mnie na gór?. Szed?em rozgor?czkowany jak przedszkolak, jakby siostra Klara bra?a mnie na pierwszy lot nad oceanem. Znale?li?my si? w niewielkiej kuchni na poddaszu, obok której zobaczy?em pokój z w?skim ?ó?kiem. Otrzyma?em tam co?, czego nikt nie umia?by wymarzy? ani wy?ni?. Siostra Klara posadzi?a mnie przy stole ko?o okna i poda?a ogórkow?, bardzo kwa?n?, bez ?mietany – tak jak lubi?. Jad?em i sp?ywa?y mi po twarzy ?zy jak jakiej?, kurcz?, babie. Jad?em i z rozkoszy si? akicha?em. Siostra Klara nic nie jad?a, tylko przygl?da?a si?, jak równo wsuwam zup? i s?ucha?a moich westchnie? i dzi?kczynie?. Potem czule pog?aska?a mnie po w?osach, jak to ona, a na deser zagrali?my w karty, bo t? tali? od Andrzeja mia?em z sob?, ?eby tamci mi jej, wiecie, nie ukradli.

Nast?pnego dnia wieczorem znowu odwiedzi?em jej poddasze. By? kapu?niak. Umiera?em. Rozp?ywa?em si? w b?ogo?ci podniebienia, ca?owa?em siostr? Klar? w obie d?onie, ona mnie g?aska?a po czuprynie, potem zagrali?my w jedenastk?, a ja – do?? ostro?nie – napomkn??em jej o locie do Pary?a. Wcale si? nie ?mia?a i nie kpi?a. Wys?ucha?a mnie spokojnie i? uwag?, jakbym nie mia? pochrzanionej, chorej g?owy.

To by? nasz najwi?kszy, wspólny sekret – te wizyty w cichym czasie, kiedy wszyscy ogl?dali w telewizji dziennik z wagonami wo??cymi w te i nazad sterty w?gla i armaty czy tam rud?, a po wiadomo?ciach prze?ywali now? Kobr? albo filmy. Siostra Klara jad?a ma?o, ona si? syci?a moim szcz??ciem. U?miecha?a si? u?miechem ?wi?tej z Ponzo i Asy?u, i s?ucha?a, jak prze?ykam w zachwyceniu ?y?ki barszczu, kartoflanki, jarzynowej czy krupniku. My?l?, ?e lubi?a, jak mrucza?em pod jej d?oni?, gdy g?adzi?a moje w?osy, i lubi?a ze mn? gra? – nie tylko w karty. Wiele gier powymy?la?em sam, wy??cznie dla nas, dla przyk?adu: ile ?wiatów jest za oknem albo nieparzyste i parzyste, albo zgadnij, co widzia?em, kiedy nie patrzy?em, albo ?y?ka, nó?, widelec, talerz, albo gdzie jest teraz Paul McCartney i co robi, i tak dalej. Je?li kto? by chcia? otrzyma? zbiór przepisów owych gier, to prosz? pó?niej, bo w tej chwili, ja przepraszam, ale musz?, prosz? pa?stwa, by? skupiony.

O?mielony ?yczliwo?ci?, ciep?em i uwag? siostry Klary, snu?em co dzie? coraz d?u?sze opowie?ci o prze?yciach w s?o?cu Francji i o naszej misji w Ameryce. Ona czasem mnie pyta?a o szczegó?y, bardzo dziwne, albo znowu chcia?a wiedzie? tak ogólnie, jak tam ci Francuzi i Amerykanie ?yj?, co kupuj? w sklepach, jak pracuj? i czy wierz? w Pana Boga. Wi?c mówi?em jej, co tam zauwa?y?em i co jad?em, co robi?em i te rzeczy, a? pewnego dnia (to znaczy ju? wieczorem, tak jak zwykle) ona te? mi powiedzia?a o podró?ach. Oznajmi?a, ?e odwiedza Sopot – prawie co dzie? – bo tam pi?knie i nad morzem.

– Siostra zd??y tam pojecha?, poby? i na rano do nas wróci??

– Umia?by? zachowa? tajemnic??

– Ja nie zdradzam – odpali?em bardzo dumnie.

U?miechn??a si? i zdj??a fartuch. A? mnie zgi??o. Mia?a pod fartuchem tylko kostium – k?pielowy – jak na pla?y. Nie wiedzia?em, co si? dzieje, co mam robi?. Zbarania?em.

– Nie gap si? tak, bo ci p?knie ?y?ka w oku. Chod? – zrobi?a znak, bym podszed? bli?ej.

Przykucn??a przy kredensie, takim zwyk?ym, jak to w kuchni. Te? kucn??em. Czu?em jej cudowny zapach, ciep?o skóry i nie mog?em uspokoi? dr?enia szcz?ki. Otworzy?a doln? cz??? kredensu, rodzaj szafki, gdzie si? trzyma wi?ksze garnki.

– Tutaj. Zobacz – wyszepta?a mi do ucha.

W szafce, za garami by?o molo. I doko?a mola morze, nad nim mewy. A na pierwszym planie skwer, pó?kole skweru, sporo ludzi, Parasolnik otoczony dzieciakami, kolorowe kramy z balonami, bursztynow? galanteri?, korkowcami. Obok za? – cukrowa wata, lody, samochody na peda?y dla smarkaczy i w ogóle takie rzeczy. Wszystko to – i molo z morzem, i spacerowicze, i korkowce – siostra Klara poskleja?a (jak zd??y?a mi wyja?ni?) z wycinanek z pism dla kobiet i „Przekroju”. Kto? pomy?la?by, ?e to jest tylko papier, ale przecie? – ja widzia?em i s?ysza?em – ca?y ?wiat si? rusza?, gada?, kipia?.

– Id?. Id? pierwszy – powiedzia?a. – Ja za tob?. Jeste? go?ciem.

Os?upia?em.

– Nie bój si?, przeci?nij si? pomi?dzy garnkiem a patelni?.

Zrobi?bym dla siostry Klary znacznie wi?cej. Wej?cie w kredens by?o pestk?.

Chwil? pó?niej wype?zli?my ko?o mola.

By?o lato, by?o ciep?o, by?o pi?knie, szumia? Ba?tyk. Sopot t?tni?, najwyra?niej w dniu s?ynnego festiwalu, bo kr?cili si? w pobli?u piosenkarze, piosenkarki i konferansjerzy bardzo dobrze znani z telewizji. Siostra Klara spogl?da?a na mnie k?tem oka, jakby chcia?a si? przekona?, czy podoba mi si? z drugiej strony garnka do pomidorowej i patelni do ziemniaków podsma?anych ze skwarkami.

– By?e? tutaj?

– Nie. Ja wyje?d?a?em raczej, no, do Kutna. Tam jest Bobek...

– Chod?, przejdziemy si? po molo.

I poszli?my.

By?em dumny, ?e z ni? id?. Wszyscy si? za nami ogl?dali, nawet ci z ekranów i ok?adek. Siostra Klara przewi?za?a sobie w pasie zwiewn? chust?, która bardziej ods?ania?a ani?eli zas?ania?a jej cudowne, smuk?e nogi. Wygl?da?a, wierzcie, fan-tas-tycz-nie. Jako? tak si?, kurtka, sta?o, ?e nie mia?a ju? na twarzy ?adnych dziobów, by?a szczup?a, a jej w?osy rozwiewa?y si? na morskim wietrze jak p?omienie. Pierwszy raz widzia?em, ?e si? ?mia?a. Pierwszy raz zauwa?y?em, ?e ?wieci?a. By?a pi?kna. A ja prowadzi?em j? jak narzeczon?, jak królow?, jak zrodzon? z morskiej fali polsk? Wenus. Przeprasza?em w duszy Go?k? Dyngus, zapewnia?em j?, ?e siostra Klara jest za stara tak jak dla mnie, ?e to tylko taki spacer, ?e w ogóle wiatr i molo s? z papieru. Rzeczywi?cie tu i tam co? czasem odkleja?o si? i odbarwia?o, tyle tylko ?e pomimo wszystko by?o tam niesamowicie pi?knie i prawdziwie (tego nie mówi?em Go?ce Dyngus), du?o bardziej ni? w gru?liczej, zapomnianej przez anio?ów K?pnej.

Gdzie? w po?owie mola podszed? do nas znany ?piewak. Z czeskiej Pragi. Spyta?, czaru?, czy by nie móg? si? zapozna? z pi?kn? pani?. Okaza?o si?, ?e mo?e, a wi?c zaraz si? zapozna?. Uj?? siostr? Klar? w pasie i za r?k?, i t? d?o? ca?owa? jak na filmie. Jeszcze pó?niej co? za?piewa?. Siostra Klara ca?kowicie i nieodwo?alnie zmi?k?a, on podtrzyma? j? i poca?owa? prosto w usta. Ludzie, którzy si? zebrali dooko?a, bili brawo, z ?yczliwo?ci? i wzruszeniem. Ja nie bi?em, bo mn? trz?s?o, ale, prosz? pa?stwa, rozumia?em siostr? Klar? i ?yczy?em jej wszystkiego najlepszego. Prze?ywa?em takie dziwne rozdwojenie: z jednej strony radowa?em si? jej szcz??ciem, z drugiej – by?o mi niesamowicie przykro. Ostatecznie wysz?a ze mn? na ten spacer, ze mn?, mówi?, a nie z tamtym. Wreszcie ten artysta z czeskiej Pragi poszed? sobie jakim? cudem, chyba mia? w amfiteatrze wa?n? prób? czy te? wywiad, co? w tym stylu. Gdy odchodzi?, to bez przerwy macha? w nasz? stron?. Siostra Klara mu odmachiwa?a.

Ruszyli?my dalej ju? we dwójk?, rami? w rami?, i ja znów cieszy?em si? jak szczeni?, tak jak Dupek, kiedy Go?ka bra?a go na spacer na Osiedle albo dalej, na RKS. Kroczyli?my razem w lekkim wietrze. By?o lato,

by?o ciep?o, by?o pi?knie, szumia? Ba?tyk. Sopot t?ni?... No i w?a?nie wtedy, moi pa?stwo, w?a?nie wtedy zarobi?em dosy? mocno w potylic?.

To by? ziemniak z zupy, jeszcze ciep?y. Zaraz zarobi?em drugim, trzecim, czwartym i do tego us?ysza?em kwik Krótkiego i dwóch jego najwierniejszych kumpli. Siostra Klara te? dosta?a – najpierw w plecy, potem w czo?o. A gdy dotar? do niej ten szyderczy ?miech gru?lików-astmatyków, to skuli?a si? z nag?ego wstydu, jakby przerazi?a j? jej w?asna nago??. Chyba chcia?a przesta? istnie?. I do tego jeszcze zbrzyd?a. I p?aka?a. Molo, morze, wiatr i mewy j??y si? fa?dowa? i br?zowie?, jak wysychaj?cy po zmoczeniu, gazetowy, stary papier.

Oszala?em.

Wystrzeli?em w stron? trójki n?dznych skurczysynów z takim krzykiem, ?e – cho? pewnie trudno w to uwierzy? – tamci odwrócili si? na pi?cie i zacz?li ostro spieprza?. Przedosta?em si? przez kredens i przez kuchni?, przefrun??em przez kolejne pi?tra i korytarz, i dorwa?em ich na dole, w naszej sali.

Nie widzia?em nic i tylko la?em, rozpirza?em i ?ama?em jakie? sprz?ty albo ko?ci – jak automat. Gryz?em i dusi?em tak jak zwierz?. Chcia?em tamtych drani pozabija?, porozrywa? ich na strz?py, unicestwi?. Kto? oddawa? ciosy, ja nie czu?em. Mówi?, nie bola?o mnie nic, wcale, nic nie dostrzega?em, nie s?ysza?em, tylko w pewnej chwili – jakbym zasn??. Jakbym wpad? w g??bokie morze. Nagle.

*

Wywalili mnie na zbity pysk i tyle. Najpierw by?a izolotka z krat? w oknie, kilkana?cie godzin bez ?niadania, bez obiadu, tylko woda, potem – pó?nym popo?udniem – do widzenia, deportacja, pr?dki wyjazd.

Nie wiem, co si? sta?o z siostr? Klar?. Mo?e pozosta?a za kredensem, tam, na molo? Mam nadziej?, ?e tak w?a?nie post?pi?a, chocia? gazetowy papier wewn?trz szafki pofa?dowa? si? i straci? ?ywe barwy. Wi?cej siostry Klary nie widzia?em. By?o mi niesamowicie przykro, bo nie mog?em jej przeprosi? i nie mia?em ?adnej szansy, ?eby jej za wszystko podzi?kowa?, ani zagra? z ni? na koniec w karty. Mówi?: wywalili mnie piorunem – z takim hukiem, ?e a? nios?o si? po górach i dolinach echo grzmotu, do Popradu albo dalej.

Przyjecha?a oczywi?cie Mama. Doktor Chomicz przyj?? j? w swym gabinecie pod podobiznami tow. Gomu?ki oraz tow. Cyrankiewicza i powiedzia?, ?e zdemolowa?em sanatorium, w ka?dym razie du?? sal?, pó? tej sali, znaczy ?ó?ko i taboret, a najbardziej ten taboret.

[...]

Wzi??em k?piel znacznie wcze?niej ni? zazwyczaj, po?o?y?em si? i udawa?em, ?e chc? zasn??. To wprawi?o Babci? z Mam? w jeszcze wi?ksze zadziwienie i niepokój. Mama mnie poca?owa?a lekko w czo?o. Nic takiego, bez gor?czki, dzi?ki Bogu. Obie pr?dki, jak najciszej, same po?o?y?y si? do swoich ?ó?ek. Zaczeka?em trzy kwadranse i sprawdzi?em. Tak, ju? spa?y.

Za?o?y?em spodnie, lekk? kurtk? i wymkn??em si? na palcach z domu. A wa!n??o mnie od klamki, ?e o ma?o nie zawy?em! Otworzy?em strych, gdzie wieszali?my cz?sto pranie, i znalaz?em klap? przy kominie. Dach na szcz??cie nie by? stromy.

Już zdziwio ciemni si na dobre, więc zaczęłam si powa nie niepokoii, czy te aby nie za późno wyruszyłam na spotkanie, jednak – może gdzie tak po kwadransie – usłyszałam uhu-uhu nocnej sowy. Patrz, Gośka. Z tym że ta walnięta pojawiła si na drugim domu! Albo Kojot coś pomiesza, albo ona miała defekt mózgu. Przecież od razu mogłam wejść na tamten dach i nie byłoby kłopotu, prosta sprawa. Pokazałam, że si zwiżam, zbiegam na dół i dołecz do niej w dwie minuty. A ta – nie! I pokazuje – nie ma mowy, bo mnie zdziwiła matka z ciotką z Bielska Białej. Szczyt kretystwa i bezsensu. Tak staliśmy pod księżycem, o dwadzieścia metrów jedno od drugiego, a nie mogłam nawet dotknąć i powłchać włosów Gochy i porozumiewaliśmy si jak marynarze na bocianich gniazdach dwóch agłowców. Naturalnie, że usiowałam jej pokazać, że dziękuj i te rzeczy, ale chciało mi si przy tym wrzeszcze z rozdrażnienia i jakiegoś, kurtka, ładu. A tym bardziej, że choć skrywałam j po trosze letni półmrok, wyglądała jak... no nie wiem, no tak świetnie jak w szpitalu, kiedy przyszedła mnie odwiedzić w tej sukience i podniosła potem rękę. Babcia powiedziała: „Zakocha si jak diabeł w starej wierzbie”. Gdzie zakochał? No zwyczajnie Gośka była bardzo ładna, najładniejsza na Okciu. Tylko tyle. Dobra, koniec! Koniec tego. Zakręciłam si po dachu. I znalazłam. Jak si czegoś bardzo pragnie, to są szanse na okazje. Tę głębok myślałam naprawdę warto zapamiętać? bzdę wypisać na wołowej skórze, ja wam mówię.

Przy kominie – przy tym drugim – leżała zwój porządnej kominiarskiej liny. Z obciżnikiem, czyli kulą. Kominiarze pewnie sobie ciut popili dla kurażu (odnalazłam tę butelkę), potem poszli, zapomnieli. Zresztą kto by tam si martwił? jak? linkę, nie ma tej, to dadzą nową. A co do mnie, wiem, mój pomysł był do luftu, tak naprawdę raczej nie do zrealizowania, ale ja chrząknęłam nierealność i realność. Dałam znak na drugą stronę i zaczęłam kręcić kulę tak jak lassem. Nie kombinowałam nazbyt wiele. Zamieniłam si w pragnienie, celowanie i kręcenie. Wypuściłam pocisk, kontrolując przebieg linki. Kominiarska kula wzbiła si pod niebo, przeleciała nad podwórkiem jak meteor i upadła na dach domu Gośki i Kojota. Dobrze, że ten dach był kryty grubą papą, zawsze ciszej, ale mimo wszystko – huk i omot! My przycupnęliśmy jak zajęce. W domu Gośki zapaliły si od razu jakieś światła, a poza tym było trochę krzyku, głoawy w oknach, wreszcie cisza, spokój, spanie. Odetchnęłam. Przywiłazam koniec linki do komina. Pokazałam, żeby Gośka te zrobiła coś takiego. Napieliśmy linę z całej siły, a zaczęła bucze jak kontrabas.

Nie zastanawiałam si zbyt długo, bo bym nie wszedł na tę linę nigdy w życiu. Wiecie, jestem raczej lekki cykor. A jak wszedł, to już brnęłam, z ramionami tak rozciągniętymi jak najdłuższe skrzydła samolotu. Docelowe miejsce lądowania: dach nad kamieniem? Gośki Dyngus. Ster od siebie. Jak od siebie – kto? zapyta. Otóż – jako że mój dom był sporo wyższy, lina szła pod pewnym kątem w dół, no nie tak ostro jak w kolejce górskiej z Kasprowego, ale zawsze. Więć schodziłam i po trosze si zsuwałam na podeszwach starych tramppek. I nie chciałam wcale myśleć, co pode mną. W sumie, po co? Lepiej myśleć, kto przede mną. A tymczasem tamta miała zamiast czekać, wykonała skok na linę i zaczęła sunąć w moją stronę, wiecie, w górę (ster do siebie). Już mówiłam, moi państwo, Gośka była bardzo sprawna, tak jak chłopak, ale była niewzrusliwie duma i powinna na mnie czekać. Jeszcze bardziej si zdenerwowałam. Zbliżyliśmy si do siebie z obu końców drążek liny. Wreszcie spotkaliśmy si gdzieś w jednej trzeciej jej długości, licząc oczywiście od krawędzi dachu domu Gochy. Ja wiem, bezsens, ale piękny.

Zetknęliśmy si na podobieństwo samolotów witających si nosami (no powiedzmy DC-9 z karawelą). Mimo wszystko anatomia samolotów jest odmienna tu i ówdzie, więc poczułam nie chłodnawy dziób z duraluminium, ale miękki ciepły, gładki skóry, no a przede wszystkim – jakby państwu to powiedzieli – dwa uściski prosto w łeb, symetryczne, delikatne i cudowne, tak cudowne, że po prostu nie do wytrzymania. Zakręciło mi si mocno w głowie. Gośćce pewnie zakręciło si w przeciwną stronę, bo nam si to jakoś w sumie wyrównało i utrzymaliśmy równowagę. Chciałam Gochę mocno objąć, lecz nie było jak – potrzebowaliśmy skrzydeł, żeby ustać. Ja i ona. Chyba jasne. Nie wiedziałam, co powiedzieli, więc palnęłam tylko:

– Ty wariatko.

Ona na to:

– Ty debilu.

A ja:

– Gocha!

Ona:

– Sado?!

– Gosia...

– Marcin...

I poczułem co? na wargach, taki elektryczny miód, jak wtedy w jumbo-jecie podczas rejsu na Floryd?. I poczułem, kurcz?, że naprawdę znowu lec?, że lecimy między nocnym niebem nad Ok?ciem a rozlanym na podwórku morzem szamba. Szli?my w gór?, prosto w ksi??yc. Nagle – nie wiem, czy z powodu silnych turbulencji, czy oszo?omienia kapitana – przepadli?my. W mgnieniu oka – bum, o??dek w gardle, zimne nówki i spadamy. Kto? nas musia? jednak chroni?, bo uchwycili?my si? zbawiennej liny. Zwisali?my z niej – spadochroniarze pod gwiazdami. Że te? my z t? Dyngusówn? nie mogli?my nigdy nic zwyczajnie, jak porządni ludzie dooko?a, tylko albo Ameryka, albo jakie? loty ponad szambem. To naprawdę idiotyczne, że dos?ownie wszystko to, co wa?ne, wydarza?o nam si? nienormalnie.

Bardzo dobrze, że uchwycili?my link? d?o?mi, nie nogami, i nie wisieli?my w dół g?owami, no bo Go?ka przysz?a na spotkanie w tej spódniczce od hokeja i dopiero mia?bym k?opot z utrzymaniem koncentracji i te rzeczy. Zwisali?my tu? przy sobie, tak że nadal odczuwa?em dwa uk?ucia w ?ebra i jej ciep?o. Na nieszcz??cie Go?ka j??a zsuwa? si? w kierunku dachu. Mo?e mia?a ?liskie r?ce? Tak czy owak odjecha?a par? centymetrów jak wagonik. Podsun??em si? natychmiast ku niej. Gdy poczu?a, że znów zjedzie, pochwyci?a mnie nogami, mocno, w pasie. Odlecia?em, rozumiecie, znowu odlecia?em. I domy?lam si?, że Go?ka ze mn?. Mog?em wisie? tak i lecie? nad podwórkiem dnie i noce, bez jedzenia i bez picia, zawsze, wiecznie, a? do ?mierci i tak dalej. Lecieli?my razem w wielkiej ciszy. Nie wyznawali?my sobie ju? nic wi?cej. Wystarczy?o, że dzielimy si? oddechem, elektrycznym miodem, ciep?em i dotykiem, i w tym by?o nasze po?egnanie, zapewnienia, obietnice i wyznania. Wiedzieli?my ju? naprawdę wszystko, no na przyk?ad, że ja dla niej, ona dla mnie, i że nigdy o mnie nie zapomni, a ja o niej, b?d? pisa?, b?dzie czeka?, że jak tylko si? urz?dzi? tam daleko, to przyjedzie i b?dziemy razem ca?e ?ycie. No naprawdę?

Wtedy zacz?? szczeka? pies, ten durny Dupek. Nie chcia? przesta?. Kto? zapali? znowu lamp?. Go?ka wystraszy?a si?, rozplot?a nogi i ruszy?a w stron? dachu. Jak komandos. Taka by?a. Ja zg?upia?em i dopiero, gdy sykn??a: „Wracaj, pr?dko!”, zawróci?em. Mia?em w ?apach taki atom, przyspieszenie, że dotar?em na swój dach z pr?dko?ci? ma?py. Odwi?za?em lin? od komina, da?em znak, a Go?ka j? wci?gn??a tam do siebie. Bogu dzi?ki, że przez okno nie wyjrza?a pani Dyngusowa ani ciotka z Bielska Bia?ej. Nie wiem, mo?e tylko mi si? wydawa?o, ale chyba zobaczy?em pi?tro wy?ej Profesora. Zreszt?, prosz? pa?stwa, to niewa?ne. Nawet je?li to by? on, to pewnie my?la?, że zwariowa? od czytania i pisanie grubych ksi??ek. Tak si? zdarza.

By?o mi potwornie ?al, a jednocze?nie roznosi?o mnie nieznane wcze?niej upojenie. Po drabinie i po schodach nawet nie schodzi?em a sp?ywa?em. W domu – otrze?wiony nieco pr?dem z naszej klamki – zobaczy?em, że u dziadka Samuela nadal pali si? ó?tawe ?wiat?o. Zapuka?em. Nie wiem po co. Chcia?em mu powiedzie?, co si? sta?o? Niemo?liwe. Chcia?em by? przez chwil? z kim? spokojnym? To ju? pr?dziej. Zapuka?em jeszcze raz. Bez odpowiedzi. Wszed?em. Dziadek Harsztark siedzia? tu? przy radioodbiorniku. Radio gra?o, znaczy si?, mówi?o co? o niezadowoleniu w?ród inteligencji i w?ród robotników, wymienia?o nawet miasta, gdzie kto? pisa? jakie? listy, co? w tym stylu. Dziadek chrapa?. Zobaczy?em, że jest sam. Nie, to nie znaczy, że sam siedzi, tylko że jest sam na ?wiecie, sam jak palec, jak skazaniec w celi ?mierci. Troch? ?lini? si? i pachnia? acetonem. Raczej cuchn??. Nie to, żeby go u?ywa?, tylko ten aceton z niego bucha?.

Podłóżyłem mu poduszkę i okryłem starym kocem, jeszcze z UNRRA. Nim wyszedłem, jakoś tak cmoknąłem go w policzek, strasznie szorstki i kłujący niczym tarka. Nie robiłem tego nigdy wcześniej, tak jak nigdy nie pocałowałem – no bo gdzie i kiedy? – mego ojca. Może czasem ojcem staje się samotny, stary sublokator, przyszywany dziadek, ktoś na pozór całkiem obcy?

Wyłączyłem radio, potem lampę i poszedłem wprost do siebie, z tym że nie zasnęłem. Wciąż tańczyłem i latałem nad podwórkiem z Gołką Dyngus.

~~samoloty~~ and or type unknown

Fragmenty pochodzą z książki: M. Stokowski, *Samo-loty*, Wydawnictwo Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza, 2005.